

MULCUMESK 2009

Powoli to staje się u mnie regułą. Ktoś zadzwoni, coś mi nagada i potem mnie to męczy, jak kropla co draży skałę. Mało tego, decyzje na ostatnia chwilą też mi wchodzą już na stałe do programu. I tak we czwartek założyłem oponkę bo nóż widelec w piątek gdzieś pojedę. I stało się. W piątek po robocie jeszcze odrobiłem prace domowe. Kwadransik pakowania i kole 20 dzida w drogę. Jakoś dotarło do mnie, że Borunin organizuje jakąś imprezę. A, że na szlaku i po drodze to się troszku wprosiłem. Jakoś po północy dotarłem do Przemyśla i pod eskortą zostałem doprowadzony na metę. Dzięki uprzejmości gospodarza ciepły kąć się znalazł a przyjęcie było iście królewskie. Rankiem okazało się, że mientcy jesteśmy jak kaczuski. Deszcz sobie padał, myśmy gadali a czas sobie płynął. Ale na dwór jakoś nikt nie chciał wyjść.



W trakcie tego gadania, kole południa zadzwonił Greg. Umówiliśmy się w Krośnie za godzinę. Zawinięci w kondoniki ruszyliśmy z Wojtkiem na Krosno. Reszta ekipy szturmowała szlaki Borunina. Mi tym razem się nie udało. Mam nadzieje, że jeszcze się kiedyś nadarzy okazja. Jakąś godzinę po czasie przyjechał Greg i zaczęliśmy szukać kantoru. Nic z tego nie wyszło. W sobote wszystkie były pozamykane. Ruszyliśmy w stronę Dukli. Po drodze na stacji uzupełniliśmy paliwo, wymieniliśmy kasę i ruszyliśmy na Komańcze. Po drodze Greg jako pasjonat Gps oznajmił, że skręcamy w lewo bo tak mówi jego telewizor. I choć droga była tylko jedna, skręciliśmy w pole. Po skręcie wyjaśnił, że ze 300 metrów nawet możemy zaoszczędzić. A niech tam. Ruszamy po przygodę. Pierwsza

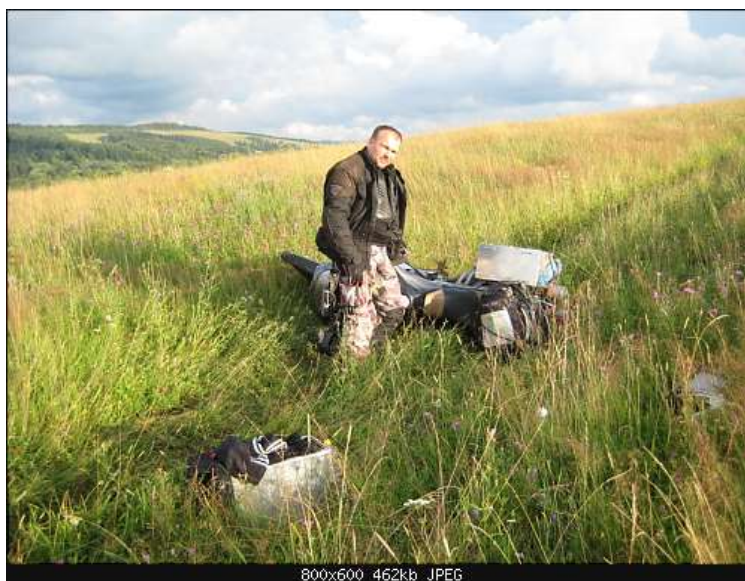
niespodzianka to rzeczka. Trochę zmieł, ale przeszedł. Chwile później w trawie zaginęła droga. Odnaleźliśmy coś co było świeżo rozepchniętym gliniastym podjazdem. Pierwszy przyjął głębę po 10 metrach drugi 10 metrów przed końcem.



Jeden jeden. Schodząc po tym, szybko okazało się, że nawet ustać na dwóch nogach jest ciężko, a co dopiero jeździć obciążonym motorem. Dalej była już tylko łąka bez najmniejszych nawet śladów po jakichkolwiek kołach. Jadę w górę wzdłuż wąwozu. Po jakimś czasie udaje mi się znaleźć przez niego przejazd.



Patrząc na kierunki świata i miejsce gdzie jest normalna droga, mniej więcej w tym kierunku właśnie powinniśmy jechać. Co z tego gdy telewizor Grega pokazuje zupełnie co innego. Jedzie w zupełnie inną stronę. Po jakimś czasie Greg ginie mi z oczu w trawie po szybę. Chwilę trwało zanim się odnaleźliśmy. Ruszamy podjazdem pod górkę. Odnalazły się ślady po jakiś kołach. Droga to zdecydowanie jeszcze nie jest. Greg daje buta i po chwili długim slajdem ląduje w horyzontalnej, gubiąc po drodze kufer. Nie dotarliśmy nawet do pierwszego noclegu a tu już zabawa na całego.



Dźwignia zmiany biegów wygięta w znak zapytania, jakby chciała pytać - dokąd? Okazuje się, że Pancerniki mają takie ciekawe tulejki/bezpieczniki które w sytuacji krytycznej się urywają. Jest jeden a nawet dwa problemy. Nie mamy zapasowych tulejek, warto się na przyszłość w takie zaopatrzyć na wyjazdy.

Zgineły nam dwa płaskowniki mocujące kufry do stelaża. Szukanie tego w trawie do pasa nie należy do najłatwiejszych. Rozkręcając co się da zdobywamy śruby i nakrętki. Po dłuższych poszukiwaniach z nosem w trawie, zamiast wykrywacza metalu, odnajdujemy płaskowniki. Nieźle powyginane. Za pomocą zdobycznych śrub i trytytek mocujemy kufer. Telefonem zamawiamy po garści śrub podkładek i nakrętek. Napieramy dalej trawą. Greg z uporem maniaka ciągnie na swój brak drogi. Nawet zaczynam się zastanawiać czy nie ma racji. W oddali widac szpaler krzaków i drzew.



Po dotarciu do niego okazuje się mało możliwy do pokonania. Zwiad wykazał, że za krzakami nie ma drogi tylko rzeczka. Jednostką pływającą to ja nie jestem. Co najwyżej nurkiem ;-). Wracamy na moje azymuty. Docieramy do jakiś zabudowań i żwirówki. Greg ma dość wrażeń no i GPS pokazuje mu na drogę. Ale tym razem ja daję do przodu. Coś tam trąbi, ale udaje, że nie słyszę. Niedługo droga zmienia się w bagienko. Pierwsza klasa. Jeszcze parę kałuż przejazd pod przepustem w nasypie kolejowym. Docieramy do kamienistej rzeczki i drogą na asfalt. Kilka kilometrów i jesteśmy w Łupkowie. Bez trudu odnajdujemy drogowskaz „koniec świata 1 godzina” Na czuja wybierając coraz to gorsze drogi przez kałuże, rzeczki i przejazdy po rurach udaje nam się dotrzeć do pierwszego noclegu. Miejsce klimaciarskie jakich w Bieszczadach wiele. Zresztą nazwa mówi sama za siebie „koniec świata”. Nie ma prądu i wody ale jest piec, kilka gitar... i bieszczadzkie anioły. Greg nawet miał wzięcie, ale nie chciało mu się już jeździć moturem. Początkowo mieliśmy rozstawiać namioty, ale znaleźliśmy taki już postawiony. Greg dokonuje prezentacji taboru. Czego to On nie ma?



Butli z gazem ma sześć. Tylko każda prawie pusta. Wyjaśnia mi szybko że wyjazd miał być po tanioci więc nie kupował nowej.



Miska, kawka i kruszon.



Dzień kończymy przy dźwiękach gitary.



[Przed północą. o dziwo bez masakrycznych (nie błędził więcej niż godzinę) problemów dociera Wieczny z resztą ekipy. No dobra, na wjeździe walna elegancka figurkę.

—
Wieczór już prawie był zakończony. Chłopaki też mieli dość i szybko legliśmy w śpiworkach w naszym namiocie....na stole. Taka była imprezka, a co.



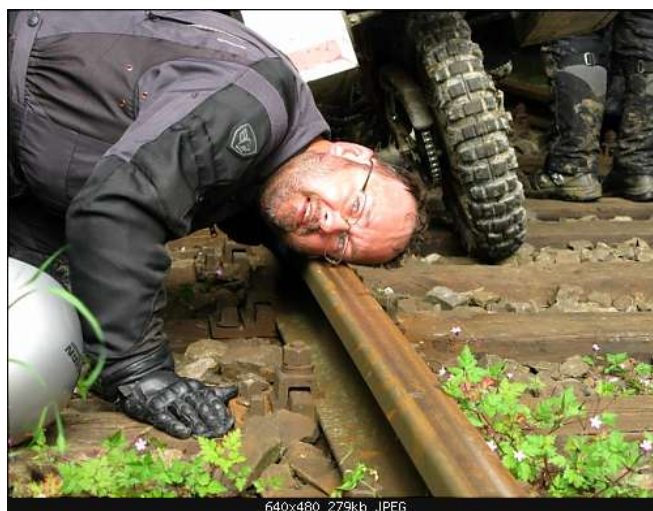
Nad ranem budziłem się kilka razy. Chłodno było troszkę, żeby nie powiedzieć zimno. Niebo było zaciągnięte na dębowo i mimo, że do świtu było jeszcze trochę czasu nie wróżyło to zbyt dobrze. Rano po śniadanku rozpoczęliśmy pierwsze serwisy. Rychtowanie gregowego pancernika z ran dnia poprzedniego. Chłopaki robili kapitałki swoich sprzętów po wczorajszej trasie. Wieczny tankował olej. Po oporządzeniu sprzętów, czyli ciut przed południem, zwarci i gotowi udaliśmy się w kierunku granicy.



Trochę na oślep, trochę na węc. Początkowo wszystko wyglądało nieźle tyle, że zamiast na drodze ląduje w zagrodzie pełnej owiec. Zawracamy i dziwnym zrządzeniem losu docieramy jednak to naszego przeznaczenia. Dworzec kolejowy w Łupkowie z powodu swej okazałości godny co najmniej Włoszczowej (wszyscy wiedzą o co chodzi).



Dalej już nawet gruntowej drogi nie ma. Wybieramy tory. W końcu to też droga. Docieramy do tunelu. Dla uspokojenia ducha metodą starych Indian sprawdzamy godzinę przyjazdu najbliższego pociągu. Jest dobrze. Chyba zdążymy.



Pamiętkowe zdjęcie i dzidaaaa. Po drugiej stronie czy już na wolnej Słowacji Wieczny stwierdza, że uwolnił mu się częściowo stelaż.



Mocujemy go pałer tejpem i trytytkami. Jest tšoda. Jest piknie. Greg prowadzi szutrarni, drogarni przez stodoły nieczynnych pegieerów. Właściwie całą Słowację nic się nie dzieje. Absolutnie nic. Za to po w jechaniu na Węgry coś się zaczyna dziać. Kolega Wielkie nieścięćcie otwierając kufra stwierdza, iż zawartość wygląda jak puszka sardynek. Znaczy wszystko pływa w oleju który się wylał z butelki. Drużyna pracuje. Kadra się koncentruje.



Ruszamy dalej. Cóż Węgry to raczej płasko i nudno. Greg prowadzi za swoim telewizorem. Docieramy do rzeki. Fajowo, ale nie ma mostu. Rzeka nie wygląda na płytka.

Nawet ja nie próbuję. Jedziemy dalej wąłem powodziowym. Jest pięknie. Zbliża się pora obiadu. Wypatrzyliśmy fajne jezioro, tyle, że ogrodzone. Okazuje się to być prywatnym łowiskiem wędkarskim.

Rozkładamy się na stoliku nad wodą i rozpalamy pod kociołkami. Przychodzi właścicielka z Mężem. Mówi tylko wery littel po anielsku. Za to my po węgiersku nawet tyle nie potrafimy. Daje nam klucz do prysznic, za darmoszkę. Nieźle musiało od nas walić. Koniec końców pojedliśmy, wykąpaliśmy się, ruszamy dalej. Nawigator wyznacza dalszy kurs niezmiennie kierując się zasadą najkrótsza droga nie stroniąc od szutrowych ścieżek. Czasem oznacza to przelot drogą przez ogródki działkowe, a czasem trzydziesto kilometrową wycieczką przez las. Właśnie drzemy takim leśnym duktem. Kurzy się niemilosiernie.

Odstępy między nami kurz wydłuża coraz bardziej. W końcu orientuje się, że chłopaki za mną zaginęli. Czekam chwilę i nic. Zawracam i jadę z powrotem. Szymon z Wiecznym stoją i coś tam gadają. Okazuje się, że zgubiłem ręcznik. Wieczny stanął aby go zabrać, ale nim opadł kurz miał już Szymonowego Biga zaparkowanego w pancernikach. Straty; Big ma wygryziony kawałek błotnika, na dziobie z pod czarnego matu wyłazi racingowy orange. Zawracam przez pobocze. Niestety pokonując rów zabrakło mi nogi do podparcia przy zatrzymaniu. I jak w na zwolnionym filmie razem z motorem kładę się w gęstej trawie rowu. Wszyscy ryczymy ze śmiechu. Podchodzi Wieczny podając rękę do wstania. Ja cały czas ryczę ze śmiechu. Pierwsze co mi przychodzi do głowy to aparat. Zdjęcia rób.



Drzemy dalej. Docieramy do Rumuni. Na granicy tylko paszporty obmien walut i wio. Wpadamy na stację benzynową. Częstotliwość tankowań wyznacza 04 Wiecznego. Ja bym walnął jeszcze ze 150 gdy On już tankuje. Jakoś nie lubię tego robić zbyt często i wolę od deski do deski.



Powoli robi się ciemno. Właściwie to plan był taki aby dotrzeć do Resity. Do celu mamy jeszcze stówkę z okładem. Ale w końcu zjechaliśmy w krzaki rozstawić obóz. Pociągałem tymi krzakami na zwiad. No i znalazłem piękną miejscówkę. Kilka drzew opodal lasek, Z drewnem na ognisko nie było problemu. Umówiliśmy się, że jak nie wrócę reszta jedzie moim śladem. Coś długo ich nie ma. W końcu nadciągają – jeźdźcy burzy. Kufer Wiecznego odstaje jakiś 45 stopni. I to od razu w dwóch płaszczyznach. Oj nie jest lekko być Hutyszem – cokolwiek to znaczy.



Rozstawiamy obóz, rozpalamy ognisko, jedzenie, kruszon. Robi się błogo. Niebo gwiaździste jak w bajkach. Świerszcze grają aż miło. Kruszon idzie w nogi. Jeszcze smakujemy lokalnego specjału marki Unirea. Miły. W oddali widzimy ognisko, ale nikomu się nie chce ruszyć schabów. Pewnie to był Wolly z Młodym. Zасыpiamy pod gwiazdami.

Po wieczornych gwiazdnych spektaklach, rano słońce wyciąga nas ze śpiworów i namiotów. Szybka ocena sytuacji. Wszyscy docinają Wiecznemu, że specjalnie wygiął stelaż bo łatwiej mu nalewać olej z kanistra.



Okazuje się, że chrody dzikich mrówek wsuwają naszą krakowską, pozostawiona na łące wieczorem. Niedługo okazuje się że mrówki nie są jedyną zwierzyną. Dookoła słyszymy dzwonki.



Chwilę potem okazuje się, że wokół nas są setki krów. Rozstawiliśmy się na pastwisku. Z resztek wody robimy kawkę.



Wieczny płacze, że jest odwodniony. Pakujemy się i ruszamy. Docieramy do jakiegoś wiejskiego sklepu. Uzupełniamy płyny ustrojowe. Wieczny przestaje płakać. Greg brata się z lokalesami.



Ustalamy, że jest potrzebny nam „Kondukta”. Cokolwiek to znaczy, jest w najbliższym miasteczku. No dobra, na nasze standardy to większa wieś. Telewizory Grega nie nawigowały w kierunku wspomnianego słowa. Trochę błądzimy. W końcu wjeżdżamy na

podwórze z szyldem Auto Spalatorie. Zastanawiam się czy aby nie chodzi tu o zakład utylizacji. Na migi dogadujemy się co i jak nam potrzeba. Fachowiec w firmowy mundurku zabiera się do roboty.



Część rusza na mijany targ po zaopatrzenie. Jeden koleś wpada na pomysł zakupu zasilacza do HP. Niezły pomysł. Na wiejskim targu, sukces murowany. Przy okazji rozglądamy się po wyposażeniu zakładu. Z konserw robią łaty w podłodze wiekowej daci ze sportowym siedzeniem z kołka drewna.

Choć spawy wyglądają jakby były dziełem dżdżownicy a nie ultranowoczesnej techniki spawania w osłonie CO2. Jednak jak się ma jeszcze okazać to łączenie mamy już z głowy. Po zakończeniu prac szefu nawet nie chce gadać o żadnej zapłacie. Jedynie Drum bun i wyjeżdżamy. Przy okazji zwracamy uwagę na to, że nawet furmanki mają swoje numery rejestracyjne. Jedziemy trochę asfaltem docierając w jakieś góry. Skręcamy na boczne zaczyna się kurzyć niemiłosiernie. Karawana się wydłuża. Tracę poprzednika z widoku. Tylko kurz wyznacza kierunek w którym jadą. Mało nie poszedłem na czołówkę z pędzącym pikapem z przeciwka.

Udało się choć widoczność była zerowa. Za to na rozwidleniu jest zonk. Kurz unosi się nad obiema drogami. Wypatruje i widzę podnoszące się gęste tumany nad lewą. Jadę w lewo niedługo doganiam ciężarówkę. Wyprzedzić ją to jak zostać kamikadze. Zostaje kamikadze. Znowu kawałek asfaltu. Doganiam chłopaków. Zatrzymujemy się na jakieś tamie. Jesteśmy już w górach widoki zajfajne. Po krótkiej przerwie na wyplukanie piachu z

zębów ruszamy dalej. Droga znowu z koszmarnie pyłącego szutru. Jakby mało tego było co chwilę liczę ciosy kamulcem w osłonę. Aluminiowa osłona wydaje niezwykle głośne jęki przy każdym takim ciosie. Niestety nie do uniknięcia. Przestaje liczyć ciosy. Wyjeżdżamy coraz wyżej skończyły się kamienie i kurz. Zaczęło się zaschnięte błoto. Las daje miły półmrok i chłód. Na jednym z zakrętów koziołka fika wieczny. To już zaczyna być nudne.



Głęboka koleina nie daje szans na wygrzebanie się z pod motura. Dźwigamy z Szymonem Chabetę. Doganiamy resztę. Część rusza, część zaczyna remonty. Ja pierdziu co ja tutaj robię. To ja miałem kompleks absolutnego nieprzygotowania, ale Ci goście już przeginają. Co postój wyciągają narzędzia i coś tam dłubią. Taki los. W końcu ruszamy. Droga lasem w półmroku jest super. Wyjeżdżamy na jakąś polanę. Znowu kamienie i kurz. Nasi reporterzy montują stanowisko. My robimy za statystów czy modelki. Reżyser nakreśla wizję planu i scenografii. Adaś pruje pierwszy. Ja z Wiecznym mamy być drugim planem. W pewnym momencie dochodzi do załamania akcji, lub do punktu zwrotnego. My z góry widzimy że tuman przestał się przesuwac. Od strony operatorów widok był znacznie atrakcyjniejszy.





Znowu mamy porwane steleże, znowu szukamy Kondukta i znowu mamy 100 kilometrów do Resity. Przerwa na planie. Obiad.



Widoki zarąbise. Kończymy butlę. Greg ma już tylko pięć. Kurczaczek palce lizać. Dzięki Lucek. Żurek też wkusny. Motamy strzępy XLki. Kufer mocuje na pasek od spodni do swojego siedzenia i ruszamy szukać spawaczesku. Zdjeżdżamy do wioski. Od razu mamy spawacza. Tym razem w wulkanizatorni.



Spawaczemu robi swoje my idziemy w miasto. Po powrocie Adaś smęci, że ma krzywą ramę i w ogóle jest źle. To że ma krzywy tył to widać było jeszcze przed wyjazdem. Błotnik lampa i kufry wszystko było w innych przestrzeniach. Każde w swojej. A w dodatku absolutny brak symetrii. Nawet koło było jakoś tak bardziej.

Dla potwierdzenia znajdujemy miejsca gdzie jest krzywo. Tylko, że jest to zadupek a nie mocowanie wahacza jak twierdzi właściciel. Test drive na sprawdzenie osiowości. Zostałem o zgrozo wytypowany na pilota oblatywacza. Czemu ja się na to zgodziłem? Motor na wpół rozebrany siedzenie tylko położone. Próbuje ruszyć, a tu coś się konia dusi a sprzęgło nie puszcza. Odkręciłem bardziej, sprzęgło skleiło na 1 mm przed końcem, kobyłka ruszyła z kopyta, i od razu na gumę. Jakieś ewolucje pomiędzy wrakiem daci a traktorem. Po dwóch metrach leżymy oboje. Werdykt rzeczoznawcy : da się jechać. Tylko tyłek trza troszku podprostować. W ramach opłaty za spawanie wytargowaliśmy rurę od znaku drogowego do naciągania zadupka.

Rozdzielamy się na dwie grupy. Sprawni jadą do Resity w poszukiwaniu miejsca na nocleg, a sprawni inaczej skręcają kasztankę a potem jadą za nami asfaltem. W stronę Resity ruszamy na skrót, borem lasem. Znowu są widokowe góry. Pośród łąk ginie nam właściwa droga. Próbujemy improwizować. Jest fajnie. Namierzam się na podjazd. Już w trakcie okazuje się, że przeceniłem swoje możliwości i zaczynam zmieniać na taktykę. Z ukosem do trawersu. To przynosi efekty. Niestety do czasu. Nagle na mej drodze gwałtownie i podstępnie wyrasta drzewo. Prawie bym przeszedł. Gdyby nie.....podnóżki.

Kurde właściwie to poco one są? Jednym wbijam się w skarpę. Drugi klinuje się na drzewie. A było już prawie, prawie. Jeszcze jakiś rozpaczliwe próby, ale nic z tego.



Przybywają chłopaki z odsieczą. Pasterz patrząc z dołu daje wyrazy sympatii. Jedyne co zrozumieliśmy z jego wypowiedzi to „hard kor”.



Greg wyczytuje ze swego telewizora, że droga to wiedzie, ale sąsiednim wzgórzem. Wyciągamy habetę i hola na przeciwpałożną. Tam nie ma takich krzoli i żadnych zdradzieckich drzew. W każdym razie nie na mojej drodze. Drogi też nie ma, ale jakby co mamy na to sposób. Ślinię palec wyciągam na słońce i właściwie nic się nie dzieje. Może dlatego że pośliniłem rękawiczkę. Robię teatralną minę i cytuję słowa wieszczka. Jedźmy na wschód tam musi być cywilizacja. Walimy grzbietem na szagę. Jest bosko. Trawa po pas. Słońce prosto w nos, a może wręcz odwrotnie. Od czasu do czasu tracę równowagę najeżdżając na jakiś ukryty w trawie kopiec albo badył. Bezpieczna prędkość pozwala jednak na utrzymanie pionu. Greg coś tam wymachuje na wprost. Pewnie znowu

znaleźliśmy jakąś drogę. Kurde, ten jego telewizor ma zapisane na swoich mapach chyba ślady po przejeździe jakiegoś dzipa. Choć mógłbym się założyć, że to co wyczyniają lokalesi swoimi daciami w wersji pikus mogło by się nadać na niejeden rajd terenówek.

Pozostaje nam tylko zjechać ze wzgórza, tylko czemu tą najostrzejszą ścianą. Żeby tylko nie walnąć figury przez kierownicę. Greg pokazuje, że dobrze jedziemy. Odkąd wiem, że to jest droga czuje się wyraźnie spokojniej. Swoją drogą to ten jego telewizor ma niezłą wyobraźnię. Ja tej drogi ni kuta nie widzę. Zjeżdżamy w dolinkę. Jest ładnie. Widać nawet ślady rzeczki. Jest miło i miło. Tylko trawa wciąż wysoka. W końcu znajdujemy jakieś ślady. Jedziemy nimi do lasu. W lesie na rozstajach zatrzymujemy się na chwilę. Dopada mnie eskadra komarów. Zsiadając z motura oganiam się od nich zamasyście. Ma to przykre konsekwencje.

Szybkuje z podnóżków, lądując plecami na kamieniach pół metra po niżej motura w wyrwie po rzeczce. Ale jak śpiewa towarzyszka Doda "I nie martw się nie jest tak źle...." W końcu mogłem tam wylądować z moturem. Od razu mi lepiej. Ale chyba nie było mi za bardzo do śmiechu bo nie wyjmnołem nawet aparata. Jedziemy dalej. Wyjeżdżamy z lasu. Zanurzamy się w stado owiec. Które rozbiegając się tworzą jakby drogę. Niestety za owcami dopadają nas burki. Ale nie takie z serem czy dżemem. Wyglądały na takie z miejscem na mięsne nadzienie. Ujadały niemiłosiernie. Jedyne wyjście to dzida aby nie zostać tym nadzieniem burka. Na szczęście po tej stronie lasu trawa było niewysoka, tylko ziemia nierówna. W tej konkurencji byliśmy pierwsi przy bramie. Na szczęście była otwarta. Docieramy do jakieś wioski. Jest sklepo-bar.

Miejscowi patrzą na nas z politowaniem. Jak było, pijemy wodę. Dzikim szutrem docieramy do asfaltu, a nim do Resity. Telefonicznie ustalamy pozycje drugiej wycieczki. Wygląda, że to nie oni na nas, tylko my na nich czekamy. Ponieważ robi się późno ustalamy, że szukamy miejsca na biwak. Oni nas odnajdą. Zaocznie ustalamy miejsce na mapie. Jedziemy coraz to bardziej dziurawą drogą, ale za to coraz wyżej. Jest również coraz ciemniej, coraz trudniej wypatrzeć dziury i żwir na drodze. Po ciemaku widzimy poniżej drogi ogniska i namioty. Szybka decyzja. Tu. Rozstawiamy namioty. Zaczynamy plądrować okoliczne krzaki w poszukiwaniu opału. Efekty są gorzej niż słabe. Przychodzą do nas Rumuni. Coś mówią i pokazują rękami jakby chcieli powiedzieć, że to nie tak. Znikają, a my nadal nie mamy towaru. Po kilku chwilach wracają, ze spalinówką. Parę

chwil i mamy stertę towaru. No kurde nieprzygotowani jesteśmy. Co wy do licha w tych pancernikach wozicie? W oddali słyszemy singielka. Jadzie reszta wycieczki. Zatrzymują się na chwilę nad obozowiskiem. Wymachujemy latarkami. Zapinają jedyne i winą. Wieczny daje wióra za nimi. Ale ich nie znajduje. Za to spotyka jakiś Czechów na dzidagach. Ale to nie nasi. Wraca. telefonicznie ustalamy że mają jeszcze z 70 kilosów. Kurde tyle to wy wszystkiego zrobiliśmy od spawaczesku. Oni jadą skrótem. Docierają przed północą. Gwiazdy i kruszon rozleniwiają na maxa.

Budzimy się jak zwykle z pierwszymi promieniami słońca.



Śniadanko, toaleta z prysznicem w strumieniu, a co. No może ciepły to on nie był. Szybkie remonty i pakowanie. Na prostowanie ramy XLki nie starczyło czasu. Już koło południa ruszamy w drogę. Rukowaditel Greg nadaje coś o górze trzech krzyży. Procesing, procesing... Czyżbyśmy byli niedaleko Kazimierza ?

Droga na górę szybko okazuje się zdradziecka. Głębokie rynny po deszczówce, a w dodatku zryte kostką. Widać, że nasze panie domu tu były. Zaciskam zęby na co większych kamulcach i prę do góry. Wielkość kamieni określam wyłącznie do widzianych na drodze do tamtej pory. Następny dzień miał zmienić punkt odniesienia. Z góry wałą trzy dzidagi. Już już za chwileczkę, już za momencik widać koniec wąwozowej drogi i wyjście

na łączkę. Chwilowa dekoncentracja. I gdyby nie torba na zbiorniku.....walnąłbym własną torbę w kierownicę. To musiałyby boleć. Co mnie podkusiło na ten lans na stojaka ? Zabrakło mi jakieś 4 metry. Słownie cztery. Zaryłem osłoną w koleinie i stanąłem w miejscu. Ani w górę ani w dół.

Chłopaki stoją jakieś dwa zakręty w dół. Kombinuje, ale nic mi nie wychodzi. Jedyne wyjście to położyć i wywlec za włosy na łączkę. Już wiem po co w czoperach są frędzle. Zasapałem i zapociłem się niemiłosiernie. W dole chłopaki kombinują jakiś wcześniejszy wyjazd boczkim. Padają jak muchy jeden po drugim. Greg jak prawdziwy gieroj sowieckiego sajuza po plecach jeszcze ciepłych kamratów wrywa się z okopu. I z okrzykiem Za rodzinu...pruje na szczyt. U mnie wszystko na dobrej drodze. Kobyłka wyjęta z okopu leży w rumiankach. Tyle, że kółkami pod górę. Pozostaje jeszcze posapać i obrócić o 180 stopni.



Greg z miną pierwszego zdobywcy puszy się pod krzyżami. Chwile później dobija jakiś Hans na Husce. Hans z pogardą wskazuje palcem na Gregowe pancerniki i coś tam gada. Jedyne co zrozumiałem z jego monologu to słowo enduromania w tonie pytającym. Zaciągnął dwa gule z kamel бага i już widzimy tylko plecy oddalającego się Hansa. Z za góry dobiegają dźwięki singli. No to pewnie już się wczółgują kompani wiecznego. Okazuje się, że to dwie pomarańcze. Ale też szybka wymiana zdań i gnają dalej. Co oni się tak spieszą? Docierają nasi. Ze spokojem wyciągają aparaty i cykają foty.



Następnie z dystynkcją fachmana za 200 eur za godzinę rozkładają narzędzia i zaczynają przeglądy. Tym niemieckim gangsterom najwyraźniej brak luzu...Nasi wiadomo....spoko, loko luz i sponton. Z tego luzu postanawiamy z Gregiem odwiedzić sąsiednią wyższą górkę. Widoki w piteczkę. Tyle, że Greg się zgubił. Choć on twierdził zupełnie odwrotnie. Niestety naszym nieodpowiedzialnym samowolnym oddaleniem psujemy humory kolegom. Gaśnie spokój i luz obsługi OT1. Gdy wracam chłopaki walczą z podjazdem który nie wyglądał aż tak źle.





Diagnoza za mało gazu. Chłopaki z konsekwencją ataku szczytowego na K2 zdobywają cenne metry wysokości. Widzę w rynnie jakieś wystające bolce. Sprzedałem im kopa. Dobrze jest mieć buty enduro. W trampkach pozbyłbym się palcy. Wyciągam z ziemi podkowę. Nie wiem czemu mnie pytali czy z drugiej strony był koń? Kawał jakiś czy co ? Chłopaki walczą, ja jadę szukać Grega. Drużyna się rozpada jedni wkurwieni jatką, drudzy wręcz przeciwnie.

Co ciekawe najgorzej idzie tym na singlach. Łykamy jakiś podjazd podskokami jakbyśmy po schodach jechali. Dalej mamy już drogę. Nawet Dacia jedzie. Tyle że ja Poldkiem nawet bym nie próbował. Taki lajf dla nich to normalka. Później lasem w dół. Dojeżdżamy do jakieś Szerszej drogi. Tyle, że płynie nią strumień i są niezłe kamulce. Z przeciwka

jedzie ciężurawka po drzewo...bez kierowcy i kierownicy, ale jedzie. Po kilkudziesięciu kilometrach dojeżdżamy do wsi. na polance stoi kupa moturów. Same dzidagi. Kurde ale tego tu jest. Holendrzy i Niemcy. Mają jedną pomarańcze na sznurku. Wieczny nawet nie patrząc wyrokuję..uszczelka. Kilka słów kilka braterskich uścisków (jak pod resztką bramy brandenburskiej) I jedziemy w swoją stronę. Greg prowadzi. Drogę przecina nam rzeczka. Ale co tam taka rzeczka. Z okrzykiem Banzai na ustach rzucamy się w odmęty. Szybko okazuje się że jest kur....sko ślisko. Niewidoczne pod wodą kamulce są większe od radia szarotka. Prąd jest dość znaczny. A każdy podskok na kamieniach skutkuje zmianą kursu.



Generalnie obranie i utrzymanie kursu jest równie prawdopodobne jak historie Tolkiena. W końcu trafiam na kamulca wielkości telewizora Rubin. Ni z toąd ni z ową zmieniam kurs o 90 stopni i ląduje na boku.



Pierwsze o czym pomyślałem po wynurzeniu się na powierzchnię. O ja gupia pipa przeca mam hermetyczna torebkie na kumurę cobym następnej nie utopił. Mam a jakże tylko w kufrze, a komura w kieszeni,,i aparat. Stawiam chabetę na nogi..o dziwo odpala bez trudu. No rzesz ty dopiero teraz przeczytałem w kontrakcie wycieczki słowa drobnym druczkiem. Opcja suche buty niedostępna nawet za dopłatą.



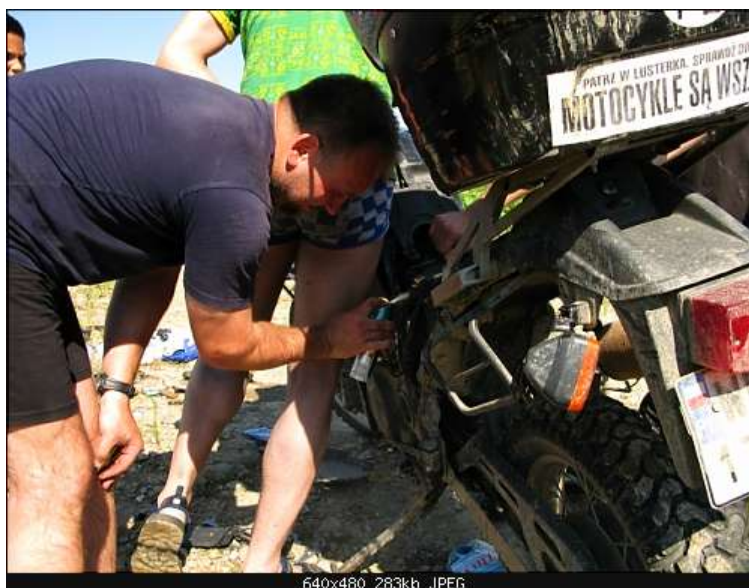
Big ląduje w wodzie dwa razy. Za drugim umiera. Greg skurczybyk w asyscie idzie nadspodziewanie lekko. Dociera na drugi brzeg. Gdybym powiedział że suchą stopą byłoby to dość grubymi nićmi szyte nadużycie. Wieczny maltretuje się jak mięso w maszynie.



Przestajemy liczyć ile to już razy leżał. Fantastyczny program. Dwieście metrów niżej jest most. Niestety Biga musimy wynieść. Trzy godziny później. Obrazki z wycieczki; stoją cztery motory. Piąty rozebrany w atomy.



Wokół suszą się hałdy maneli.. Sprawdzamy wszystko; filtry, świece, spuszczaemy paliwo, mało nie rozebraliśmy gaźników. Big jak nie miał życia tak go niema. W ramach wspomagania zapłonu wywaliliśmy już cały amerykański dezodorant Wiecznego w gaźnik.



Greg miał francuski nie chciał dać. A Big skurwiel ani gdaknie. Jeszcze chwila i bateria wyzionie ducha. Jest dobrze nadchodzi wieczór a my mamy pokonane 40 kilosków.

Wprawdzie bunkrów nie widać ale i tak jest zajebiście. Choć nie wszyscy tak uważają. W końcu do biga dochodzi mistrz dotyka ręką i goi rany. Wiara czyni cuda. Dotyka i uzdrawia. Serce znowu bije. Pytacie jak to się stało gdzie przyczyna ? Obejrzyjcie sobie czterech pancernych. Początkowe odcinki. Młodszym czytelnikom wyjaśniam: To taki kultowy peerelowski serial. Zostawiamy chłopaków na pożarcie wilków. Umawiamy się na następny dzień. I dajemy się w długą we trzech. Cel; Tarcu czy jak miejscowi mawiają Carcu. Jest jeden problem to jest jakieś 2200 mnpm. My jesteśmy na 200.

Zarówno kierunek a już tym bardziej droga jest takim lekkim niedomówieniem. W lokalnym Gieesie (nie chodzi tu o motur tylko sklep to też dla młodszych) zasięgamy języka. Walim na skrót przez łąki i sady. Tylko jak się okazuje nie za bardzo we właściwym kierunku. W końcu łądujemy w takich bagienkach, że chłopaki wiszą na kufrach. Ale jest pięknie. Nie ma co. W okół nie padało od miesiący a my zawsze jakieś bagno znajdziemy. Mam wrażenie, że słyszę jakiś silnik więc pruję przez bagno na otro. Niczym zając zatrzymuje się nadstawiam uszu. Singiel ? może nasi. Dzida. Singiel to nie był raczej dwururka za to mocny i duży...traktor. Wytężam wszystkie swoje zdolności lingwistyczne. Jak tu spytać rumuńskiego górala: gdzie ja jestem? Jak z tond dojechać na to Tarcu. Gość zmierzył mnie wzrokiem i pyta. Carcu ? Mało do nóg mu się nie rzuciłem. Mistrzowi prowadź. Chaga łąga trum bum bum i pokazuje ręką na wprost a potem macha poprzecznie.

Do nózek padam waszej miłości, tyś zbawcą naszym. Jestem w niebie. jeszcze tylko żeby chłopaki przez bagienko się przedarli. Po jakimś czasie nadciągają. Drzemy na otro. Docieramy do jakieś lepszej drogi. Zaczynamy już zapinać trzy po jakiś czasie nawet cztery. Wreszcie się pojawiły to obiecane szybkie szutry. Nic pięknego nie trwa wiecznie. Droga się zawęża i jest ostrzej w górę.

O czwórce dawno zapomnieliśmy a i trójka gości z rzadka. Na kamiennym ostrym podjeździe jedynka nie daje rady. Greg mało nie poleciał dwadzieścia metrów w dół urwiskiem. Telewizor mówi, że mamy nie dalej niż 100 metrów do szczytu łowa. Za nim da się jechać dalej na Tarcu. Po ześlizgu z drogi Grega nie próbujemy dalej. Wracamy w dół. Znajdujemy inna drogę. Patrząc na azymuty: są szanse na powodzenie. Docieramy do jakiegoś zerwanego mostu. Brodem poniżej daje radę. Droga w lesie wiję się serpentynami.

Na krawędziach z rzadka pojawiają się szczątki po słupkach. Wygląda dobrze i rokuje na sukces. Jest coraz ciężej. W końcu spotykamy drwali. No no no no chance. Coś nam

tłumaczyli o jakiś mostku za którym w prawo. Wracamy. Jedyne mostek to ten zerwany. Wieczny mało się z niego nie zwałił do rzeczki. Wracamy do czwórkowych szutrów. Mostków mijamy z pięć. Wieczny trafia kamulca wielkości telewizora. Tylne koło unosi się na wysokość jednego metra nad drogę. Na szczęście prędkość była spora. Na pewno na tę okoliczność Inż wieczny ma jakąś estymacje momentów żyroskopowych albo coś równie naukowego. Dość, że ląduje na koła i to głową do góry.

Dopadamy do wielkiego drzewa z tabliczką, znakiem szlaku i napisem: Cumtu 6 godzin. Greg potwierdza, że to po drodze. Dobra nasza jak pieszo 6 godzin ty będziemy za godzinę. Nocleg na przełęczy. Pierwsze 400 metrów bajeczka. Potem zaczynają się serpentyny. W leje wypłukane przez wodę nie chowa się już koło a prawie cała afryka. Chwilami brakuje jedyneki. Na nawrotach serpentyn strzelam ze sprzęgła. W końcu na kawałku prawie płaskiego zatrzymuje się zaczekać na resztę.

Trochę trwa zanim dojechali. Ale wracćc nawet nie próbowałem. Greg pokonując jakiś odcinek na listonosza czyli podpierając się nogami został wciągnięty pod kufry. Dzielny był jak Roman Bratny...gazu nie puścił. W rynnach zaczęły się pojawiać kamulce jak telewizory.

Po kilku przewrotkach dajemy za wygraną. Jest już za ciemno na walkę. Rozstawiamy biwak. Nie ma kolacji ani kawki ani nawet kruszona. W locie do poduszki dochodzi sms od sąsiada z domu „wpadniesz na drineczka?” Zanim zrozumiałem już spałem. Słońce wstaje bardzo wcześnie, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Czyżby maczał w tym swoje paluchy wczorajszy reset zegarka w telefonie? Tradycyjnie śniadanko, kawka na wodzie z potoczka, pakowanie i w drogę. Starujemy z jakichś 600 m wysokości. Wczoraj dotarliśmy na 1300, tylko, że to była nie ta góra co chcieliśmy. No dobra Greg chciał. On miał telewizor i mapę, więc rządził.

Początkowy podjazd był trudny. Ostro pod górę i głębokie leje wypełnione kamulcami. Za widoku idzie nam dużo lepiej niż po ciemku. Wyjeżdżamy na szerokie polany z pięknymi widokami.



Pod koniec polany Wieczny wali figurę. Nie wygląda to najlepiej. Rozwalona szyba, czacha i sfatygowany stelaż od lamp.



Greg, jak zawsze, jeśli jest coś do podnoszenia dziwnym trafem drze do przodu i znika. Wdrapujemy się na piękną ścieżkę. Jest kamienista, ale nie specjalnie stroma. No i te widoki. Za jednym z załomów znajdujemy Grega i wodopój dla baranków. Cóż za przyjemność. Mimo, że przejechaliśmy kilka kilometrów to jesteśmy mokrzy od potu. Chłodna góraska woda jest supeeeeeer.



W oddali słyszymy wyraźnie jakiegoś singla. Wyczekujemy, ale nie nadjeżdża. Jest super gadamy o pierdółach. Skoczem reanimujemy czachę Wiecznego. Któryś przez wrodzoną sympatię wyraża życzenie ujrzenia tu GS farrerów. Jako, że wspomniany singiel nie nadjeżdża walim dalej. Po wcześniejszych podjazdach teraz to jak wycieczka po alejkach parkowych. Kamienista droga ma wąską odnogę. Ścieżka kusi gładką nawierzchnią bez kamieni. Prę dalej ścieżką. Do czasu.

Przejazd tarasuje nasyp z kamieni. Przód jeszcze przechodzi. Tył staje na przeszkodzie. Jak zwykle w takich sytuacjach za mało gazu. Zaczynam widzieć jak na zwolnionym filmie. Przechyliam się na prawo – w dół stoku. Do podparcia nogi brakuje mi jakieś pół metra wysokości. Film przyspiesza jak na scenach walki w Matriksie. Guzik wplątany w siatkę z manelami zatrzymuje mnie przy motorze. Lece na ziemię poniżej, zaraz za mną motor. Leżę głową w dół. Ma mnie motor kołami do góry. Jak zwykle w takich sytuacjach nie ma nikogo do pomocy.

Nie mogę się wyczołgać z pod spodu. Kurza dupa. Czuje wilgoć w kroku. Obraz się rozjaśnia. Jednak się nie zlałem w majty. Ze zbiornika leje się na mnie benzyna.

Widziałem wiele filmów gdzie samochód spada z góry. Choćby „Stawka większa niż życie”. No to nie był dobry przykład.

Tam akurat wpada do wody. No dobra wyobraźnia dodaje sił. Wyczołguję się jakoś z pod motura. Podnieść już nie daje rady. Obracam kołami w dół. Jest połowa sukcesu. W końcu jakoś mi się udaje postawić do pionu. Oceniam straty; złamana klamka i podnóżek. Szyba cała, plastiki całe. Kurde nie jest tak źle. Jedna rysa na plastikach przy obracaniu na kamieniach. Podnóżek na szczęście pasażera. Jest jednak jeden problem. Siły to nie ma za grosz. Chodzi na jednym cylindrze. Zastanawiam się co się stało. Oczywiście na trzech naszych jest trzech fachowców a do tego jeszcze inżynier.

Każdy ma swoje zdanie i swoją teorię. No to się zaczyna: referendum, zdobywanie elektoratu i forsowanie swojej frakcji. Kurde jak podnieść to nie było żadnego.... W końcu udaje się nam po ruskim miesiącu ustalić podział zadań. Greg rozpala ogień. Wieczny poluje, a ja krence śrubki. Niestety na długo się nie udało. Greg miał palnik, Wieczny konserwy i znowu mi siedzą nad głową. Każdy rozkenca inne śrubki. Sprawdzamy świece, macamy wydechy i takie tam różne zakłęcia. Przy okazji wychodzi cała nasza wiedza. Greg już telefonem pisał posta na forum w stylu „co mi konia dusi?” Wieczny robił wykład na temat dyslokacji i różnych takich. Koniec końców sprawdzaliśmy iskrę na świecach jednego cylindra. Nie ma jak fachowcy.



Z dołu zajeżdżają jacyś Niemcy. Na GSach na szczęście tych jednocylindrowych dzidowcach. Jakoś dziwnie na nas patrzą. Wtedy chyba pierwszy raz padło hasło którego wtedy jeszcze nie rozumieliśmy 'auch enduromania ?' albo jakoś tak. Jakoś dziwnie patrzyli na rozebrana do ramy motorynkę, roztawioną kuchnię. No brakowała nam tylko telewizorka i satelity. Z obrzydzeniem pojechali dalej. W końcu po rozebraniu prawie całego (gaźniki udało się uchronić) motocykla na atomy wpadliśmy na najprostsze rozwiązanie. Może nie ma paliwa ? Po dachu, co było w komorach wylało się mi na głowę a podciśnieniówka sama tak szybko nie napompuje.

Już wiem co powie Podos...Wywal to świństwo. Ale ze mną mu tak łatwo nie pójdzie. Moja pompa po urwaniu przepiłowana łańcuchem do połowy nadal działa. Z resztą sikanie z wiatrem to nie dla mnie. Napompowaliśmy gaźniki metodą usta w usta i maszyna zagadła jak trzeba. Zapasowa klamka z pod siedzenia trafiła na bardziej użyteczne miejsce. Pustkę pod siedzeniem wypełniłem podnóżkiem. Na deserek wciągam pysznego kurczaczka...Dzięki Lucek. No i popiłem żureczkiem Wiecznego. Oczywiście nie z łakomstwa a wyłącznie niosłem pomoc kolegom w odciażaniu motocykli. Bo podnosić musieliśmy się tego dnia jeszcze.....kilkadziesiąt razy.

I tak posileni, z powrotem na obu cylindrach ruszamy dalej. Zrobiło się jakby łatwiej. A może znów za tym stał kruszon...kto go tam wie. Znowu przedzieramy się lasem. Jazda lasem ma to do siebie, że jest wyraźnie chłodniej i przyjemniej. No jakby ktoś klimę włączył. Wyjazd na otwartą przestrzeń to jakby Ci ktoś długimi po oczach walił. Wyjeżdżamy na taką właśnie polanę.

Lampa w oczy. Ledwo się przyzwyczailem, a tu przed oczami koń. Do konia za linkę jest przytwierdzony zarośnięty gość o twarzy dość śniadej. Wystarczy aby uznać go za lokalesa. Jeszcze nie zdążyłem się oswoić z jego widokiem a on już wypowiada słowo Carku, wskazując dłonią kierunek. Zamurowało mnie. Zkąd on u licha wiedział o co nam zamiar go zapytać? Jeszcze nie zdążył opaść kurz po lokalesie, a tu już z lasu wypada banda Qadów. Ja, ja, gut und cu wajtar und ales gut. Zaraz gadamy rękami: gdzie, kto i co już zaliczyliśmy. Zdziwili się mocno, że byliśmy na llowa, a jedziemy z innej strony. Pogadaliśmy i goście z furją pognali dalej. A my za nimi.



Kilka metrów nadażaliśmy....gdyby nie Wieczny. Ten to wie kiedy się wywalić. Po zwalce okazało się, że stelaż się znowu uwolnił. Mamy przynajmniej alibi czemu nie gnamy za koleśiami. Tym razem na szczęście zginęła śruba mocująca. To dla nas pikuś. W ciągu kilku chwil robimy ze szpileczki śrubę, Tniemy zarabiamy i jest gites majones. W zasadzie możemy gnać dalej. Nie wspominałem wcześniej, ale od momentu mojej zwałki coś mi strasznie dzwoni gdzieś na dole. Zatrzymywałem się kilka razy, ale nic nie stwierdziłem. Zupełnie nic. Walimy dalej. No pięknie jest. Na jednym z kamulców podbija mi przód. Na chwilę robi się mięciutko w kierownicy, łaaaaaaa i leżę na boczku w cieniu konarów wielkiego drzewa. No chociaż miejsce mi się udało. W pewnym momencie wzrok mój zatrzymuje się na wolnym kawałku kłamki spoczywającym wśród kamieni. W eter lecą wszystkie obelgi świata. No właściwie nie wiem jakie koledzy mają doświadczenia w tej materii..... Ale dla mnie dwa razy na dwóch kilometrach to już jest chyba przegięcie.



Zkąd ja teraz wezmę jeszcze jedną klamkę. W trakcie stawiania do pionu stwierdzam, że klamka jest cała. Teraz się wyjaśnia co dzwoniło. Odłamek powędrował pod osłonę silnika i tam dzwonił jak potępieniec, a mi się wydawało, że mam omamy. Po pierwszym upadku wolnego kawałka na pamiątkę nie znalazłem, choć długo szukałem. Tym razem obeszło się bez żadnych strat. Drzemy dalej. Na ostrych podjazdach Wieczny wali się co dwa metry.



Po czterdziestym razie mam dość. Co ja jakiś Assistance jestem ? No jestem, ale na wakacjach. W końcu stawiam sprawę jasno. To już ostatni raz jak Ci stawiam motur. Więcej nie będzie. Dwa metry i znowu leży. Teraz podchodzę do sprawy jak zawodowiec. Za każde podnoszenie wisisz mi 10 leu.



Wieczny muszę Ci to publicznie wypomnieć bo jakoś nie pamiętasz: wisisz mi 40 leu. To jest trzy butelki Umirea. Nawet nieźle, ściero, było. Choć jak sądzić po wyglądzie, nie powinno być lepsze od strażackiej. Ale było. Po chwilach załamania docieramy do obserwatorium meteo na Cumtu. Właściwie najgorzej dostaliśmy od kamieni. Na zdjęciach tego nie widać, ale wiercie mi chwilami było naprawdę zdradliwie. Greg nie wiezieć czemu nadal ma nadzieje na Carku. Zapinamy jedyne i drzemy w górę wyłącznie dla rozpoznania. Skaczymy zakosami jak statki w konwojach to na prawo od szlaku to na lewo. Wyraźnie zaczynamy się ścigać który pierwszy wjedzie na przełęcz. W końcu jestem. Widzę obie strony. Grega i Wiecznego nie widać. Czekam jeszcze chwil kilka, robię pamiątkową fotę i....nadal ich nie ma. Zjeżdżam w dół. Stoją a raczej tak po prawdzie to leżą.



Już są wkurzeni. Ponoć to wszystko przez to, że ja nie mam bocznych kufrów. Co ja na to poradzę, że moje rozwalił 'kolega' w norwegi o ciężórawkę..... Kolega?, ja już nie mam kolegów....Chłopaki ewidentnie mają dość. Greg się rozwalił pokotem i wyleguje się na słońcu. Pyta czy na przełęczu jest zimne piwko. Tutaj jestem winien wyjaśnienie. Telewizor Grega pokazywał, że od drugiej strony jest asfalt. A my jak te łosie 8 kilometrów w 8 godzin pokonaliśmy. Mówię, że oczywiście jest i to zarówno Ursus jak i Timiszolarena. Wieczny narzeka, że niby nie ma dołu. Smaruje łańcuch, wymienia filtry. Właściwie pełny serwis robi, żeby tylko nie stawiać do pionu. Teraz już wiem po co im te boczne kufry. Łatwiej się stawia po glebie. Spuszczam się nieco do dołu i jadę bokiem. Znowu zajeżdżam na przełęcz. Czekając na chłopaków widzę bandę kładów jadących z góry.



Jeden przeszedł bokiem, ale dwóm następnym nie daruję. Maszyny funkiel nówka. Koła wielkie jak w Ursusach. Felgi jak w eksportowych terenówkach....chromowane. Kurteczki jak w BMW adventure, bez jednej plamki. No nie ma siły machenkrojce. Używając wszystkich znanych mi słów w niemieckim narzeczu usiłuje się dowiedzieć czy dalej jest też tak kamieniście.

Moje wysiłki lingwistyczne zostają szybko przerwane. Z przeciwka słyszę: Mów o co ci chodzi koleś...Normalnie kopareczka opadła. No to pogawędka niewyjęta. Wiesz my tu ekipa, enduromania i te sprawy.... Hardkor jest. W jednej chwili zrozumiałem te pogardliwe miny machenkrojców mierzące nasze kufry i nieco ociężałe koniki. Oni wszyscy uważali nas za konkurentów w rajdzie. Pamiątkowe zdjęcie i już reszta ekipy wzywa na radyjku bo czas ucieka i punkty lecą. Goście odjeżdżają.

W końcu Greg z Wiecznym docierają. Mało mi manta nie spuścili bo myśleli, że te budki z zimnym piwem naprawdę są. Musiałem uciekać. Wdrapałem się jeszcze 100, 150 metrów wyżej. Tym razem już na listonosza, nieustannie zamiatając nogami. Widoki zajebiste tylko, że reszta pojechała gdzie indziej. Greg szukał budek z piwem. Wieczny się położył wykrzykując światu w dupiemamto. Koniec końców w dół postanowiliśmy zjeżdżać inną drogą. Zjechaliśmy do obserwatorium. Szybki prysznic.

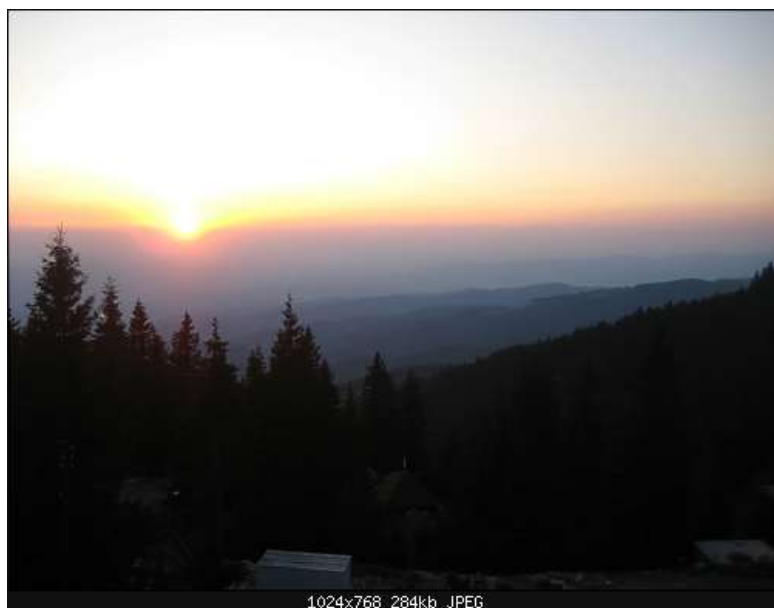


Wieczny poszedł zasięgnąć języka. Wrócił z informacjami, że mapom nie należy do końca ufać i tyle. Ciągnięty za język przyznał, że pod budynkiem stała jakaś mazda. Luzik jest. Z lasu wychodzi jakaś droga. Walimy w ciemno kilkaset metrów. Było fajne. Potem cię zaczęło. Ostro w dół po śliskiej skale. Ty Wieczny mów co to za auto było. Jakiś pikup. No fajnie. Jeszcze parę takich zjazdów i widzimy w lesie jakiegoś Patrola bez koła i półosi. No rzeczywiście luzik musiał być skoro półoś ukręcił. Wyjeżdżamy na jakąś polankę z widokiem na Cumtu i na Tarcu.



To jaśniejsze to Cumtu, a tarcu chowa się w chmurkach. W sumie z tej odległości wygląda jakby i kombiakiem prawie bez problemu dało się wjechać. Ale my już wiemy prawie robi różnicę. Potem już w dół i w dół. Docieramy do asfaltowej drogi na sąsiednią górę. Może to ten asfalt którego Greg szukał w telewizorku?

Drogą docieramy do jakiegoś kurortu. Wyciągi, hotele. Nawet stoi zaparkowany helikopter i jakiś Hummer. Tylko z ludzi nikoguśko. Wybraliśmy na oko najlepiej rokujący hotel. Mieliśmy szczęście był portier, i zimny Ursus. Nawet ciorba się znalazła. Obstalowaliśmy pokój. Ciepłej wody niet. Dziwnie jakoś do tej pory nikomu to nie przeszkadzało. Po dwa piwka na twarz i woda się zagrzała. Choć najpierw na ostro przygrzały kaloryfery. Wot takaja tiechnika. Wieczny jeszcze cyka jakieś widoczki i odpadamy.



Ranek przynosi nowe widoki i jajecznice pod postacią omleta. Wciągamy śniadanko podane do stołu. Chyba jedyne przy stole na tym wyjeździe. Skrobanie błota, smarowanie łańcucha oraz inne takie serwisy i ruszamy. Najpierw w górę, podziwiać widoki. Zastanawiamy się czemu tu latem nikogo nie ma.



Ja tam się nie znam, ale wydaje mi się, że Zakopane latem pęka w szwach. Po paru chwilach walimy w dół. Dziwne, ale im bliżej do cywilizacji tym droga gorsza. Piękny asfalt w górach zmienia się najpierw w dziurawy a potem w ogóle znika. Jedziemy w tumanach kurzu. Wieczny mimo, że podciągał już po drodze od nas paliwo to właśnie On staje pierwszy. Najpierw przepychamy go butem trochę z zakrętów, by na równym go trochę podkarmić.



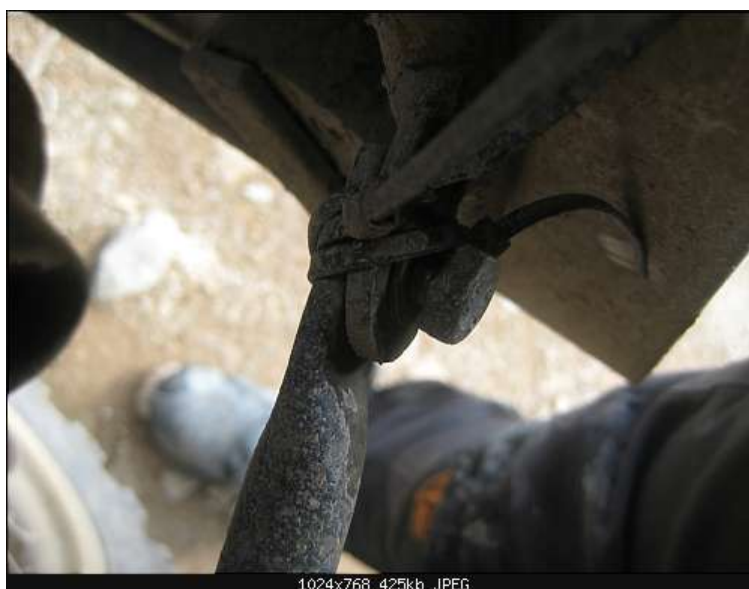
W końcu docieramy do jakiegoś miasta. Nawet nie wiem jakiego. Ale panowie na stacjach nie wiedzą co Visa. Nie ma wyjścia bo objechaliśmy już wszystkie. Na szczęście napotkana ściana jednoczy się z naszym płaczem wydając kesz. Dalej kierujemy się w kierunku osławionej 67C przez Urdele. Właściwie po emocjach wczorajszego dnia to nic się nie dzieje. Nuda panie. Trochę zaczyna się robić ciekawiej jak wjeżdżamy we wioski. A to korek ze stada owiec rozbiegający się na boki po przegazówce.



A to jakiś gość rozbiegający tylny most w ciężarówce wprost na ulicy. Wieczny nie byłby sobą gdyby nie miał problemów ze stelażem. Właściwie jak teraz sobie przypominam to do

czasu jak połapaliśmy wszystko na trytytki miał je codziennie. A to spawanie a to zgubione śruby. Ciekawe czy On to planował. Tym razem znowu pogubione śruby. Śrub mamy całą torbę. Tylko zostawiliśmy ją chłopakom do reanimacji Biga. Ale cóż ustawić to trzeba się umiść. Właśnie trafiamy na remont drogi.

W tym to Rumuni są chyba nawet lepsi od nas. Zagaduje jakiegoś kolesia i nawiązuje się całkiem niezły dialog. Tylko, że ja po rumuńsku jedynie mulcumesk i drun bum a więcej ni hu hu. Ale mimo to niezłe się dogadujemy. Koniec końców mam w ręku dwie nowiutkie ósemki brak mi jeszcze nakrętek. W pewnym momencie gość chwyta trzynastkę i włazi na tę swoją nowiutka Manowską betoniare. Łapie się za jakieś urządzenie i chce rozkręcać. Wymiękam. No nie tak sobie do tej pory wyobrażałem Rumunów.



Śruba złapana trytyką dojeżdża do samiuśkiej Warszawy. Docieramy do wąwozu. Nie wiem kto, co i gdzie jestem, ale znowu zaczyna się robić ładnie. Właściwie to po tym wyjeździe nie wiele więcej wiem o Rumuni. Kilka górskich szlaków. Do których nawet nie umiałby teraz dojechać. Ot uroki wycieczki z przewodnikiem.

W końcu docieramy do osławionej 67C. Na skrzyżowaniu ruch pieszych jak w ulu. Dziesiątki namiotów pookrywanych folią, a niektóre wręcz z samej folii. Wygląda to jak obozowiska uchodźców. Wszędzie widać grzyby. Kilkunastu gości nosi jakieś skrzynki do samochodów przy drodze. Zaczynam kumać o co biega. Przyjechał skup grzybów te

obozy to komanda zbieraczy. Jakby tego było mało w obie strony nieustannie kursują wywrotki. W oddali widać budowę mostu. Rzekę przekraczamy brodem nieco poniżej. Nie zdążyłem dosuszyć butów po poprzedniej rzece. Za wyjątkiem butów, obeszło się bez podtopień.



Przeszliśmy gładko. No tyle, że w butach znowu chlupie. Buty to mi się nieudały. Lekuchno je musnę wodą i od razu przechodzi na wylot. Ale cicho być. Jedziemy dalej. Ten szlak to jedna wielka budowa. Kto chce zobaczyć choć samą przełęcz w surowym stanie niech już grzeje silnik. Za rok będzie tu asfalt. Wyjeżdżamy ponad budowę. Zaczyna się pięknie. Widoki jak w dolinie pięciu stawów. Tylko staw jest jeden. Dalej droga wiedzie już półką.



Od czasu do czasu mijamy samochody. Głównie terenówki. Choć jeden gość dzielnie się uwija zwykła Dacia kombi. W pewnym momencie omijając wielki kamień, auto staje na trzech kołach. Pasażerowie w popłochu jak szczury opuszczają pokład. Jednak nie kapitan. Cała wstecz i wraca na drogę. Znowu atakuje i zalicza próbę.

Pasażerowie wracają na pokład. Zatrzymujemy się na przysłowiową fajeczkę. Zaraz zaraz który pali? No nie, żaden nie kurzy. O ja gupia pipa myśmy się na kruszona zatrzymali. Mija nas na oko ze trzydziestoletni land rover na hiszpańskich blachach. No nie pasuje do tej bajki. Tu taj to albo dwudziestoletnie dacie latają albo terenówki na ful wypasie, nówki sztuki.



Siedzimy sobie tak na kamieniach półeczki dyndając nóżkami. Prują dwa single. No nie mogie Big z Xleką. Jak myśmy się umawiali ? Wczoraj i na dole pod tablicą tam gdzie grzybiarze, a wyszło jak zawsze i to bez komórek. Tu znowu nie udaje nam się ustalić wspólnego zdania.

Chłopaki, tym razem z Wiecznym jadą tam a my z Gregiem siam. Tym razem udaje mi się pokonać Gregowy telewizorek i staje na moim. Jedziemy pierwszą w prawo. O jak cudownie się udało. Droga wiedzie granią. Widoki w piteczke i to na dwie strony. Za jednym z zakrętów widzimy jakieś osiedle, kilka samochodów. Zabudowania w stylu późne rokoko. Folia rozpięta na drewnianych żerdziach poprzykrywane gałęziami choinek.



Normalna wioska prawdziwych cyganów. A śpiewają, że prawdziwych cyganów już nie ma... Są tylko trzeba ich poszukać. Jedziemy dalej z przeciwka nadciąga kilka motórków. Transalpesku rumuneski. Miłe chłopaki. Jadą na transalpine a co..... Kłapa, rąsia, bużka, goździk i każda ekipa ciągnie w swoją stronę. W dole widzimy jakąś zaporę i zalew. Ale jaki?

Kogo to dzisiaj obchodzi.... ładnie widać. Jak dla nas, wystarczy widok.



Zjeżdżamy ostro w dół. Wjeżdżamy do lasu. A w lesie krowy, samopas. Tutaj to chyba normalne. Krowa na powitanie zawija ogon i gdyby mi się nie udało pasa zmienić to byłaby mnie przyozdobiła świeżutką gnojuweczką. Droga wiję się wśród skał wzdłuż potoku. Jest pięknie po kilku kilometrach zaczynają się zabudowania. Wjeżdżamy do wsi. Jest supermarket i klub rolnika. Lokalne napitki i zaopatrzenie. Wjeżdżamy na asfalt. Zaczyna się nuda prawy, lewy, lewy, prawy, zalew, zapora i tak przez jakiś czas. Dopadamy do jakiejś główniejszej drogi. Stacja benzynowa. Tankujemy motorki i odpoczywamy na eleganckiej trawce jak w macdonaldzie. Monetą losujemy gdzie dalej. Reszka w lewo. No to w lewo. Dojeżdżamy do jakiegoś mostku którym przeprawiamy się na drugi brzeg. Heavi Trafic und co waiter zostają na tam tym brzegu.



Ciągniemy jeszcze kilka kilometrów boczną drogą wzdłuż strumienia. A że mija dziewiąta, jak co wieczór po ciemku wybieramy miejsce na biwak. Tu kilka słów na temat algorytmu wybierania miejsca na biwak. Otóż idealny biwak powinien zawierać : spokój, wodę i drewno. A i tak zawsze było tak samo; zapada noc robi się ciemno minęła dziewiąta..... stajemy. Tak było i teraz.

Choć tym razem stajemy idealnie. Jest drewno na opał, woda w strumieniu i święty spokój. No i gwiazdy nad nami. Taki one milion star hotel. Na kolacje kiełbaska z ogniska. Wspominamy kiełbaske z Miedznej. Gwiazdy do nas mrugają. Jest cudnie. W pewnej chwili słyszymy jakiś dziwny chałas. Co za cholera? Ze strumienia wychodzi na nas tabunik koni. Nie wiem dzikie czy dziko pasące się. W sumie co za różnica.... Gwiazdy mrugają, my zasypiamy.

Nowy dzień, nowe pomysły. Po śniadaniu, na odchodne postanawiamy sprawdzić ile w nas zostało z małych chłopców. Słyszałem kiedyś, że pielęgnowanie dziecka w sobie to bardzo istotna sprawa. Człowiek rodzi się szczęśliwy i nie potrzeba mu wiele. Z czasem przybywa już tylko problemów. A radości.... no cóż chyba nie przybywa proporcjonalnie. A i do szczęścia potrzeba coraz to więcej. No przyznać mi się tu przed samym sobą, który z was z radością bawiłby się, z przyjemnością, godzinę kartonem po soku z wyciętymi okienkami? Albo dwoma klockami spiętymi na krzyż, udając samolot? Motury z oraz bogatszym osprzętem, coraz bardziej wyrafinowane lustrzanki, GPSy, niektórzy muszą mieć po kilka.... No cóż inna prawda powiada, iż chłopiec od mężczyzny różni się jedynie ceną zabawek. Wracając do pielęgnacji dziecka..... Przed dziecięcą zabawą postawiliśmy dość ważki temat. Utylizacja zużytej butli gazowej. Po rumuńsku; wrzucić do rzeki.... nie, to masakra.

Według najnowszych dyrektyw unijnych; składować w specjalnych pojemnikach do selektywnej zbiórki odpadów. No nieźle, ale z kądem je wziąć w rumuńskich górach. No my nie damy rady ? Jasne, że damy radę. Po śniadanku tli się jeszcze ognisko. Spakowani do odjazdu wkładamy butle w ognisko. Wióra na bezpieczną odległość. Podczas odwrotu na bezpieczne pozycje dobiega do nas ledwo słyszalny pum. Zachwyceni nie jesteśmy. Wracamy na miejsce akcji. Po ognisku nie ma śladu.



No tylko brak trawy. Nawet popiół rozniosło. Kilka, może kilkanaście metrów dalej znajdujemy denko przewinięte na drugą stronę. Góry kartusza nie udało nam się znaleźć. Pewnie poleciało za rzekę. Dajemy za wygraną. Jakoś za dużo fanu nie było. Ale zrobiliśmy to za was. Nie próbujcie tego powtarzać w domu. Jedyna i winiemy. Droga ładna, wije się dolinką rzeczki. O dziwo nawet asfalt bez zarzutu. Czy my nadal jesteśmy w Rumunii?



Ale jak to asfalt, nic ciekawego nie ma. No nie, Kiub się myli. Czujne sokole oko zawsze coś wypatrzy. Wiejski GS. Tylko młodszym czytelnikom kojarzy się z motorkami BMW. Ale my stare pryki mamy bogatsze wspomnienia. Mulcumesk Timiszoarena, ale pani sklepowa proponuje coś innego. Nie było złe, zimniuśkie i miluśkie. Na progu GSu smakuje o niebo lepiej.



Niby nic, ale asfalt znikł za pierwszym zakrętem. Za to chyba eksplorujemy jakąś świętą osadę. Kapliczki są co dwie zagrody. No góra pięć. W gęstych tumanach kurzu błyskawicznie nabieramy wysokości. Zabudowania ciągnące się kilometrami kończą się jakby nagle. Góry dookoła. Droga widoczna, plus minus, do pierwszego strumienia. Potem

jakby wiodła w górę strumienia. Po kilkudziesięciu metrach opuszcza strumień. Czy to ta sama ? Kogo to dzisiaj obchodzi.



Wyjeżdżamy na coś jakby hale. Polany z szałasami pasterzy. Wygląda na to, że jesteśmy już ponad lasem. Słońce piecze niemiłosiernie. Docieramy do skraju lasu. Piaskowa droga wiedzie ostro w dół. Właściwie nie zjeżdżamy. Na zablokowanych obydwu kołach, mimo woli, suniemy w dół. Ostra jazda bez trzymanki. No właściwie bez możliwości zatrzymanki. Jedyna szansa to kładzenie motoru na bok. Nie daje rady, czuje, że wszystkie mięśnie mam napięte i mówią dość. Kładziemy sprzęty, obaj.



Niemal zaraz słyszymy dźwięk jakiegoś mastodonta za plecami. Co za cholera 🤔 Greg krzyczy spieeeeerda..... bo nas zmiecie. Jeśli on tak samo się trzyma nawierzchni jak my, to wolę nie sprawdzać co to. Adrenalinka skacze.

Zjeżdżam i zatrzymuje się dopiero na dole. Niedługo po nas wyłania się z lasu Quad mastodont do wyciągania drzewa z lasu. Koła kończą się na wysokości mojej głowy. Na szczycie kabinka jak w traktorze. Wychodzi barczysty jegomość i odrzuca przyciągnięte beleczki. Oglądamy mastodonta. Większość urządzeń nosi cechy drwałego tuningu w technologii rejlii, ale o dziwo działa. Chwilę później podjeżdża dacia z innymi drwalami. Zaczyna się integracja. No cóż, my do tej pory z narzecza lokalesów rozumiemy jedynie mulcumesk i drum bun.

Oni po naszymu, też nie za specjalnie. Chłopaki ewidentnie chcą pojeździć afryka w zamian oferując wycieczkę Quadem gigantem. Greg przymierza się do kabiny, ale widząc 150 kolesia nie do końca pogodzonego z grawitacją pchającego się za stery jego afryczki wycofuje się natychmiast. Za to integracja rozwija się w najlepsze. Goście z Daci wyciągają butelkę coli. No, cola to na pewno nie jest. Wygląda jak benzyna. Ale nie wali jak benzyna. Kierownik zachęca klepiąc się po piersiach i z dumą obwieszczając jakiś tytuł szlachecki trunku..."ordzinal". Raz kozie śmierć – próbuję. Ogień zalewa trzewia.



Całe szczęście, że na wycieczkę z Gregiem przeszczepiłem sobie tytanowe przewody. W innym przypadku nie byłoby lekko. W rewanżu częstujemy ich naszym kruszonem. Ale nie

wywołuje u nich żadnej aprobaty. No choćby cienia uśmiechu. Po kolejce lub trzech drwalinki, dzięki aktorskim talentom drwali poznajemy nowe słowo. Ursus to nie tylko marka piwa.....to znaczy niedźwiedź. Niestety wtedy nie pojęliśmy, że może oni nas przed niedźwiedziami przestrzegają.

Po kolejnej kolejce, Greg rzuca komendę do odwrotu...jak tak dalej się potoczy to w ogóle ztąd nie wyjedziemy. W każdym razie nie o własnych siłach. Upał na maxa, a może to tylko ja się tak pocę, choć poginam w samym tiszercie. Wąska dróżka. Po lewej skała po prawej ostro w dół. Jedziemy tak trzy do cztery, w zakrętach schodzi na dwa. Z za jednego z zakrętów naporza z góry na nas ciężurawka z drewnem. Na oko jest starsza od tego drewna które wiezie. Gość właściwie sunie na bloku na kołach. Kilka centymetrów pobocza ratuje nam skórę, a nawet całą dupę.

Gość na wdechu przeciąga kołami o piczy włos od gregowych pancerników. Właściwie jedynie rozluźnienie po spotkaniu z drwalami powoduje, że nie wykitowałem na zawał na miejscu. Wyjeżdżamy na jakąś polankę, trzeba chwilę odpocząć. Czuję się jak po pawulonie. Zjeżdżając w dół przejeżdżamy przez luzem latające a to stada owiec, a to krów czasem nawet koni. W zasadzie już się do tego przyzwyczailiśmy. Na jednej z polan jakiś gość leci do nas. Coś tam nadaje, ale o co mu chodzi. Po dłuższej pogawędce dochodzimy do porozumienia. Chyba uciekł im koń. Ale jak tu mu powiedzieć czy go widzieliśmy. Było ich kilkadziesiąt w różnych stadkach. W końcu docieramy do zalewu.





Jest jakiś tunel. W tunelu nic nie widzę. Okazuje się, że mam kłopot ze światłami. Mijania nie mam żadnego, a długie tylko jedno. A i tak uwalone różnym latającym ścierwem, że marnie świeci. Z drugiej strony po tym słońcu, chyba musiałbym w tym tunelu z pół godziny siedzieć, żeby coś zobaczyć. Wyjeżdżamy na tamę, co mi tam światła. Jazda dokoła zalewu. Droga kręta choć nieco dziurawa.

Powyżej jeziora droga jest lepsza. Ale co ja widzę? Co jest? W jakieś alpy dojechaliśmy tym lasem czy jak? Transfogarska jednak robi wrażenie. Wije się jak tasiemiec. No kurde można by tak jeździć z góry na dół i z powrotem jakiś tydzień. Co chwila jakieś polanki na poboczach. Namioty, grile, ludzie sobie piknikują. Nawet beczki na śmiecie są. Jakby inny świat w Rumuni. Na szczycie znowu tunel. O kurde zamykany na drzwiach? Znowu nic nie widzę. Trzeba jechać na czuja. Po drugiej stronie targowica chińskich pamiątek, góralskich serów, ciupag, zapiekanek i hamburgerów. Ale widoki niezapomniane. Coś na kształt naszego morskiego oka, jakieś schronisko i stada ludzi jak na krupówkach.





Wciągamy ciorbe i jakieś coś co z twarzy podobne jest do niczego w smaku i nazwie też. Zapinamy jedyne i długa na dół. Tak jakby rumuńska hohalpenstrase. Tyle, że bez bramek, biletów i kawiarenek. Ale uroki niezapomniane. Przy dolnej stacji kolejki linowej kolejna targowica próżności. Prujemy dalej.

Góry zniknęły. Zrobiło się prosto, płasko i zupełnie nudno. W miasteczkach korki, na drogach ogonki ciężarówek. W jednych z takich korków doganiamy Wiecznego z ekipą. Dalej suniemy razem. W jednej z wiosek wpadamy na koleś w składzie Afryka plus XLVka. Wolly z młodym. Gadamy chwilę. Wpadamy do jakiegoś miasteczka robimy zakupy. Na półkach z butelkami jedna przykuwa naszą uwagę.

Tak to miłość od pierwszego wejrzenia. Wieczorem już pusta legnie na skraju ogniska. My tymczasem zaczynamy szukać miejsca na biwak. Niestety nic nie wskazuje na to abyśmy znaleźli je przy drodze. Skracamy w boczną w prawo. Kilometr, pięć, piętnaście ani skrawka wolnej przestrzeni. Wjeżdżamy coraz wyżej w góry. Miejsca jak nie było tak nie ma. Wjeżdżamy do jakiejś wiochy. Właściwie docieramy pod szczyt góry. Dom przy domu zagroda przy zagrodzie i tak ze trzydzieści kolejnych kilometrów. W końcu w środku nocy na chwilę przed dziesiątą.

W akcie desperacji zajmujemy skrawek wolnego miejsca na wycince. Jedyne wolne płaskie przestrzeń, ale po drzewo na ognisko daleko chodzić nie trzeba. Rozstawiamy namioty i odkorkowujemy ZARAZĘ.



600x800 373kb JPEG

Na dziś wystarczy.



800x1067 621kb JPEG

Gwoli uzupełnienia.

Adam jedzie:



Konterka, nogi na podnóżkach, jest walka, dosiad, nie oszukuje błędnika, miednica zaczyna się otwierać. Nie spodziewa się nadciągającego... ale nie uprzedzajmy faktów...



Prawdę mówiąc co by się nie rozwaliło - pamiątkę będzie miał na 102 😊



900x536 113kb JPEG

fol. Szimi



900x565 117kb JPEG

fol. Szimi



900x631 118kb JPEG

fol. Szimi



900x599 107kb JPEG

fol. Szimi



900x598 100kb JPEG

fol. Szimi



900x600 101kb JPEG

fol. Szimi

